
Literaturoznawstwo (w) przyszłości: wyjść poza strefę komfortu

Łukasz Musiał

TEKSTY DRUGIE 2016, NR 5, S. 300–312

DOI: 10.18318/td.2016.5.19

1.1

Mylące jest już samo pojęcie: literaturo-znawstwo. Warto by je na samym początku zastąpić znacznie skromniejszym, a z pewnością bardziej adekwatnym określeniem *nauki o literaturze* (niem. Literaturwissenschaft). Bo co to właściwie znaczy – a tak to widzi z pewnością nasza nieco zbyt arogancka w tym względzie tradycja akademicka – literaturę *znać*? Lub *się* na niej *znać*?

To prawda, w dziedzinie badań literaturoznawczych istnieją, i każdy je bez trudu wskaże, oficjalnie usankcjonowane mierniki *znawstwa*, poświadczane kolejno uzyskiwanymi stopniami naukowymi i środowiskowym prestiżem. Jednakże są to kryteria wobec literatury zdecydowanie zewnętrzne i, patrząc z pewnej perspektywy, drugo-, a nawet trzeciorzędne. Pozwalają one po prostu tworzyć ramy dla sprawniejszego *zarządzania* wiedzą o literaturze w obrębie na wskroś technokratyzowanego świata nauki i edukacji, jakim jest uniwersytet i system wiedzy akademickiej przynajmniej od połowy XIX wieku. A zatem, ujmując rzecz precyzyjniej, od chwili, kiedy szkoła wyższa (akademia) zaczyna wyraźnie krzepnąć jako *instytucja* kulturotwórcza w służbie państwa i/lub narodu.

Łukasz Musiał – prof. Uniwersytetu im. A. Mickiewicza w Poznaniu, członek Pracowni Pytań Granicznych na tej uczelni; dr hab.; zainteresowania badawcze: historia literatury niemieckojęzycznej, *world literature*; teoria literatury, komparatystyka literacka; ostatnie publikacje: *Kafka. W poszukiwaniu utraconej rzeczywistości*, Wrocław 2011; *Języki przemocy*, Poznań 2014.

Proces technokratyzacji nauki i edukacji pozwolił, co prawda, zagwarantować instytucjonalną (co oznacza przede wszystkim: stabilną) przestrzeń dla rozwoju pewnych określonych i bardzo ważkich rodzajów namysłu nad literaturą (np. dla historii literatury, teorii literatury, metodologii badań literatury, socjologii literatury, a także wszystkich pozostałych subdyscyplin literaturoznawstwa), lecz równocześnie systematycznie zawęził ich oddziaływanie do stosunkowo wąskiego grona *ekspertów*, stopniowo potęgując wrażenie, że literatura to przestrzeń pod nieomal każdym względem *elitarna*, której odbiór musi zostać – żeby wolno go było nazwać profesjonalnym – obwarowany szeregiem wytycznych. Teksty literackie niespełniające norm określonych przez nas, którzy nazywamy siebie literaturo-znawcami, stają się nieomal z definicji tekstami klasy „b” (literatura *popularna* – czy to nie pojęcie prawie z gatunku obraźliwych?), z kolei czytelników, dla których lektura utworów literackich nie jest zawodem, lecz sposobem spędzania wolnego czasu, trochę protekcyjnie spycha się do *ligi amatorskiej*.

Wyraźny podział na profesjonalnych i nieprofesjonalnych czytelników literatury – zapoczątkowany właśnie w wieku XIX i już wtedy poświadczony nobilitacją funkcji krytyka literackiego i badacza literatury, którzy *en masse psychologicznie* dość szybko przeobrażają się w prawdziwych *mistrzów ceremonii*, mających cesarską władzę wywyższania jednych autorów i tendencji artystycznych, innych zaś skazywania na niebyt – jest w moim przekonaniu jednym z najnieszczęśliwszych efektów wspomnianego wcześniej procesu technokratyzacji i elitaryzacji nauki i edukacji (a częściowo kultury jako takiej). Nie chcę przez to powiedzieć, że technokratyzacja i profesjonalizacja badań literackich jest czymś z gruntu nieodpowiednim. Chcę jedynie zwrócić uwagę, że za najważniejszy rodzaj wiedzy o literaturze zaczęto uważać od pewnego momentu (i da się go, jak pokazałem wyżej, ustalić dość precyzyjnie) niestety przede wszystkim to, co pozwala się *zmagazynować* w specjalnych akademickich lub akademickopodobnych *magazynach wiedzy* (encyklopediach, podręcznikach, muzeach, artykułach, plikach tekstowych itp.), a następnie przekazywać w postaci specjalistycznych *pakietów informacyjnych* pozostających w gestii zawodowców od zarządzania wiedzą i formułowania ocen. Czyli badaczy literatury i krytyków. Dla przykładu wystarczy przywołać modele podręczników do historii literatury, modele rozpraw naukowych, programy studiów filologicznych czy długie listy zagadnień egzaminacyjnych obowiązujących uczniów i studentów w zakresie wiedzy o literaturze (dawniej i obecnie), by przekonać się, że zdecydowanie najważniejszym wyznacznikiem tej ostatniej nie jest wcale *rozumienie* tekstów literackich,

lecz formułowanie ocen oraz znajomość faktów, i to w możliwie największej liczbie, z zakresu historii literatury, metodologii badań literackich, poetyki itp. Taki tryb *pracy* z literaturą wyrządza największe szkody szczególnie na wczesnych etapach edukacji. Chyba nie ja jeden pamiętam największą szkolną zmoreń, którą były lektury obowiązkowe. Omawiając je, rzadko kiedy wymagano od nas, uczniów, pytań i rozumienia wielorakich znaczeń tekstu, już raczej dokładnej znajomości fabuły, to po pierwsze. Po drugie, rozbudowanej wiedzy o kontekście historycznoliterackim. Po trzecie umiejętności wyróżnienia podstawowych cech stylu danego autora. I wreszcie zachwyty – ponoć mieliśmy do czynienia ze skończonymi arcydziełami. Co ciekawe, wiele z tych książek było nimi rzeczywiście. A dzielni nauczyciele dwoili się i troili, by pokazać je od jak najlepszej strony. Tylko że zwykle na próżno: szkolny – czyli wedle obowiązujących kryteriów *profesjonalny* – sposób *prze-rabiania* lektur obowiązkowych powszechnie powoduje trwały uraz do literatury. Lub przynajmniej do pewnych książek. Wiem, co pisać: po wiele z nich nie sięgnąłem już nigdy więcej, choć czytanie książek i pisanie o nich jest moją *profesją*. I pasją.

Wspominam o tym wszystkim oczywiście nie po to, by dezawuować zawód literaturo-znawcy (sam go przecież od lat wykonuję), lecz by w perspektywnym skrócie ukazać instytucjonalne ramy, w jakich, jak sądzę, od z górą stu pięćdziesięciu lat, a nawet nieco dłużej, kultura zachodnia lokuje dziedzinę wiedzy zwaną literaturo-znawstwem. Ramy te bardzo rzadko bywają przedmiotem autorefleksji badaczy: nawet jeśli nader chętnie wdają się oni w dyskusje dotyczące stanu, kondycji i przyszłych perspektyw swojego zawodu – a do takich dysput dochodzi w ostatnich dekadach regularnie – za główne czynniki warunkujące rozwój badań literackich uznają zazwyczaj czynniki wewnątrzbadawcze, związane z aktualnym (a często określanym jako nieprzejrzysty) stanem teorii i metodologii badań literackich czy (często, zdaniem wielu, rozmytą) tożsamością dyscypliny. Dostrzega się wprawdzie i wnikliwie omawia rolę czynników zewnętrznych, takich jak przemiana nowoczesnego modelu wiedzy w kierunku transdyscyplinarności, gwałtowne zmiany technologiczno-cywilizacyjno-kulturowe, przeformułowanie statusu i funkcji wiedzy humanistycznej, nowe oczekiwania poznawcze studentów czy potrzeby edukacyjne rynku pracy¹. Nieczęsto jednak, o ile w ogóle,

1 Spośród polskich badaczy dostrzegał to już w roku 2001 Ryszard Nycz. Zob. tegoż *O jednym z powodów tak zwanego kryzysu (w humanistyce, zwłaszcza polonistycznej)*, „Teksty Drugie” 2001 nr 1 oraz tegoż *Polonistyka na rozdrożu*, „Teksty Drugie” 2001 nr 2.

przedmiotem refleksji jest wpływ, jaki wywiera na profesję badacza szczególnego rodzaju symboliczny kapitał elitarystycznej kultury technokratycznej, przynajmniej od XIX wieku stanowiący fundament bez mała wszystkich nowoczesnych form wiedzy rozwijanych i mniej lub bardziej krytycznie reprodukowanych w przestrzeni uniwersytetu. W efekcie nawet humanistyczne wydziały uniwersytetów w coraz większym stopniu przypominają, co dobrze widać w ostatnich latach także w naszym kraju, *urzędy ds. pozyskiwania i redystrybucji wiedzy*. Z naciskiem na słowo „urząd”.

1.2

Dopóki rozwój kultury wysokiej utożsamiano przede wszystkim z rozwojem kultury literackiej (w krajach zachodnich trwało to od powstania w XIX wieku przemysłu kulturowego i profesjonalnego rynku literackiego do około lat 60. kolejnego stulecia, w Polsce co najmniej trzydzieści lat dłużej, do przełomu demokratycznego w roku 1989, a może i do końca XX wieku), badacze literatury cieszyli się ogromnym prestiżem intelektualnym i społecznym. Jestem przekonany, że z chwilą, kiedy literatura utraciła ów uprzywilejowany status, wyparta przez nowe, pod pewnymi względami dużo bardziej *obiecujące* formy artystycznego wyrazu, zwłaszcza związane z rozwojem tzw. nowych mediów (początek ich ekspansji datuje się właśnie na lata 60., kiedy na dodatek zamazują się, do tej pory pilnowane bardzo skrzętnie, granice między kulturą wysoką i kulturą popularną), jej elitaryzm stopniowo zaczął ulegać swoistej samodegeneracji. To, co kiedyś stanowiło elitę, teraz z wolna coraz bardziej przypomina kulturowe *getto*. Proces ten dotyczy naturalną kolejną rzeczą także badań literackich. To m.in. profesjonalizacja, dawniej tak pożądana (przecież właśnie pragnienie sprofesjonalizowania nauk o literaturze legło u podstaw bezprecedensowej erupcji teoretycznej i metodologicznej w XX-wiecznych badaniach literackich), w efekcie doprowadziła do powstania nie tylko naukowych *tuneli specjalizacyjnych*, jak by powiedział Milan Kundera, lecz i do stopniowej izolacji literaturoznawstwa od aktualnych procesów społeczno-kulturowo-obyczajowych.

Izolacja? Już słyszę głosy protestu. A poststrukturalizm? A feminizm? *A gender studies*? *A gay and lesbian studies*? A nowy historyzm? A postkolonializm? A krytyka etyczna? *A animal studies*? *A critical plant studies*? A dyskurs tożsamościowy? A pytania o pamięć? O kulturę lokalną? A wszystkie te kierunki badawcze w ostatnim półwieczu, których reprezentanci mieli nadzieję aktywnie uczestniczyć w przemianach zachodzących we współczesnej

kulturze i w społeczeństwach zachodnich? Czy to wszystko nie świadczy o czymś wręcz przeciwnym, a mianowicie, że badania literackie stanowią element globalnej sieci wymiany idei na skalę wcześniej niespotykaną? Że są *up to date*, jak nigdy przedtem? Że się *angażują*, jak jeszcze nigdy w historii, i to także politycznie – o ile przez politykę rozumieć aktywność w sferze publicznej? Ta, moim zdaniem nie całkiem trafna, ocena wynika przede wszystkim z ogromnego przecenienia przez społeczność akademickiej humanistyki roli dyskursu literackiego w dziedzinie kultury oraz jego znaczenia dla przemian zachodzących w świecie współczesnym. Dla kultury i społeczeństwa dyskurs literacki (a nawet dyskurs humanistyczny) jest dyskursem w coraz większym stopniu marginalnym, co nam, literaturo-znawcom, przychodzi zaakceptować z widocznym trudem, szczególnie w Polsce, gdzie kulturę literacką dłużej niż w krajach Zachodu traktowano jako bez mała królową narodowej kultury określającą kulturowy habitus polskości, z kolei badania literackie analogicznie uznawano za bezdyskusyjnie kluczowe w naukach humanistycznych. Dzisiaj, A.D. 2016, nie może być mowy ani o jednym, ani o drugim. Owszem, przestrzeń nauk humanistycznych, w tym nauk o literaturze, aż puchnie od nowych idei, koncepcji, założeń metodologicznych, reklamowanych w setkach artykułów i książek, na dziesiątkach konferencji, sympozjów, seminariów, czyli wszędzie tam, gdzie na pełnych obrotach funkcjonuje współczesny przemysł akademicki, tak rozbudowany, tak hojnie, wbrew utyskiwaniom, dotowany. Nie sądzę jednak, aby ich wpływ na aktualne przemiany społeczno-kulturowo-obyczajowe był szczególnie duży. Zbyt często mamy wówczas do czynienia, jak dowcipnie powiada w pewnym miejscu Agata Bielik-Robson, co najwyżej z pewną, rozległą, to prawda, ale jednak *manierą kampusową*², czyli z rodzajem intelektualnego obiegu zamkniętego, o którym mylnie się sądzi, że ma żywy związek z rzeczywistością istniejącą poza światem kampusu uniwersyteckiego, ba, że ową rzeczywistość może wręcz w sposób istotny kształtować.

Obieg ów to właśnie rozrośnięty do gigantycznych rozmiarów przemysł akademicki, którego istnienie, podobnie jak istnienie każdej gałęzi przemysłu, jest zależne od częstotliwości, z jaką wypuszcza się na rynek idei coraz to nowsze *modele idei* i coraz to nowocześniejsze *modele koncepcji*. Zastąpić stare nowym, po czym przejąć tę część rynku idei, którą przedtem opanował ktoś inny – ileż to razy już tak było choćby w dziedzinie teorii literatury i metodologii badań literackich! Można by to nazwać, pół żartem, pół serio,

2 Zob. A. Bielik-Robson *Nie chcę być profesorem w Bazylei*, „Teksty Drugie” 2010 nr 1/2, s. 19.

intelektualnym kapitalizmem, a niekiedy nawet imperializmem teoretycznym. Jest on widoczny właściwie we wszystkich dawnych i nowszych teoriach literatury i koncepcjach literackości, z tą różnicą, że w obliczu obecnego nadmiaru ofert teoretycznych i kapitalizm, i imperializm coraz częściej mogą przybierać co najwyżej formy po prostu groteskowe.

Biorąc to wszystko pod uwagę, obraz współczesnych badań literackich nie będzie przedstawiał się zbyt zachęcająco: ich przedstawiciele (jak i ogólnie przedstawiciele nauk humanistycznych) nigdy tak bardzo nie chcieli być częścią zmian zachodzących w sferze kultury, społeczeństwa i obyczajów (a nawet ekonomii – znamy przecież wcale liczne przypadki filozofów, socjologów czy badaczy literatury ze swadą, choć niekoniecznie ze znajomością rzeczy, rozprawiających o kwestiach gospodarki, o ekonomicznym wykluczeniu, o bezrobociu itp.), a równocześnie nigdy tak bardzo nie ludzili się co do swojej w nich roli. To złudzenie jest dodatkowo pogłębiane przez szczególną atmosferę współczesnej kultury celebryckiej, charakterystycznej dla społeczeństwa spektaklu, o którą uniwersytet, jeśli chce pozostać przedmiotem publicznego zainteresowania, musi się w jakiś sposób otrzeć. I się ociera. Ma to m.in. taki skutek, że cierpliwa argumentacja nazbyt często zostaje zdominowana przez retorykę proklamacji, bywa, że o charakterze ideologicznym, co daje się zauważyć wśród badaczy przyznających się do sympatii zarówno lewicowych, jak i prawicowych.

Zbędna w wielu wypadkach specjalizacja badań literackich, ich gettoizacja oraz (niestety w ostatnich latach ponownie coraz powszechniejsza) ideologizacja, nałożone na od dawna funkcjonujące w świecie uniwersyteckim struktury technokratyczne – w Unii Europejskiej, a więc i w Polsce, w ostatnich latach wyraźnie wzmacniane przez nową politykę naukową i edukacyjną, zgodną z założeniami tzw. procesu bolońskiego – jedynie pogłębiają rozdźwięk między nauką i edukacją a najbardziej żywymi trendami współczesnego życia społeczno-kulturalno-obyczajowego, które przez te pierwsze są przyswajane albo z ogromnym opóźnieniem, albo nie są przyswajane wcale. Aby to stwierdzić, wystarczy szybki rzut oka na uniwersyteckie sylabusy, na tematykę zdecydowanej większości prac naukowych, na programy konferencji czy sympozjów.

2.1

Naszkicowane wyżej tendencje, warunkujące globalny rozwój instytucji uniwersytetu, w jego obrębie zaś instytucji badań literackich, tworzą ramy także

dla rozwoju polskich badań literackich, nie określają jednak wszystkich ich aspektów³.

Jeśli prawdą jest, jak chce German Ritz, że „[...] w ciągu ostatnich dekad ważne teorie [...] formułowano poza dziedziną literaturoznawstwa. My po-przestawaliśmy na elokwentnych adaptacjach”⁴, to w odniesieniu do polskiego środowiska akademickiego bezwzględnie należałoby jeszcze dodać rzecz następującą: od czasów strukturalizmu myśl teoretyczna i metodologiczna w naszym kraju nie może pochwalić się niemal ani jedną intelektualnie ważką, zakrojoną na szeroką skalę koncepcją teoretyczno-metodologiczną, która – nawet jeśli pozostaje fascynująca i inspirująca – nie byłaby wynikiem importu z zewnątrz. Przez „zewnątrze” rozumiem zarówno inne, bardziej dynamicznie podbijające rynek idei dziedziny badań (np. filozofię czy nauki społeczne), jak i zagranicę, głównie francuski i anglosaski rynek idei. Czy to oznacza, że w ciągu ostatnich dwóch, trzech dekad staliśmy się, my, badacze literatury w Polsce, trochę takimi *Chińczykami literaturoznawstwa*? Czyli tymi, którzy potrafią zrobić świetny użytek z napływających z zagranicy *technologii teoretycznych*, sami jednak innowacyjnością nie grzeszą? Wiele za tym przemawia.

Chcę zostać dobrze zrozumiany: import idei był od najdawniejszych czasów istotnym elementem stymulującym rozwój kultury, a później nauki. W samej koncepcji importu nie ma więc nic niewłaściwego. Kłopoty zaczyna ją się wówczas, kiedy lokalny rynek idei, taki jak polski, zadowala się prawie wyłącznie *towarami z zewnątrz*, co szybko prowadzi do uwiędnięcia intelektualnego w wielu obszarach ważkich dla właściwego funkcjonowania rynku. Kiedy po dziesięcioletniej zapaści intelektualnej, wywołanej stanem wojennym, a następnie okresem społeczno-politycznej *smuty*, polskie środowiska badawcze znów zaczynają po roku 1989 importować na szeroką skalę zachodnie idee (olbrzymie zasługi na tym polu mogą sobie przypisać z pewnością przede wszystkim „Teksty Drugie” i klasyczna już dziś, choć w dalszym ciągu żywa i inspirująca seria „Horyzonty nowoczesności”), chodziło o nadrobienie zaległości sięgających nawet nie początku lat 80., ale wręcz końca lat 60., gdy na Zachodzie rodził się i rozprzestrzeniał poststrukturalizm. Szeroko

3 W rozwiniętej formie tezy niniejszego artykułu pojawiają się w przygotowywanej monografii pt. *Technoliteratura*, poświęconej analizie procesów technokratyzacji i instytucjonalizacji literatury i wiedzy o literaturze od połowy XV wieku po czasy współczesne.

4 G. Ritz *Retrospektywa z utrudnionymi rokowaniami na przyszłość albo pragmatyczna obrona przed nostalgią*, przeł. M. Łukasiewicz, „Teksty Drugie” 2010 nr 1/2, s. 146.

reprezentowane po 1989 roku ujęcia teoretycznoliterackie i filozoficzne miały tę zaletę, że niewątpliwie pozwalały *przewietrzyć* przesycony nadal duchem strukturalizmu, intelektualnie mocno już skostniały polski model literaturoznawstwa. Równocześnie jednak zahamowały wiele innych dziedzin aktywności badawczej. Przede wszystkim zepchnęły w cień, degradując niekiedy nawet do drugiej ligi, ujęcia historyczno- i krytycznoliterackie, a zwłaszcza biograficzne, jako *trącające myszką*. Teoria i filozofia literatury przyznały sobie status intelektualnej *awangardy* badań literackich, uznając się za intelektualnie wyjątkowo *sexy*, co miało tę zaletę, że często rzeczywiście prowadziło do ożywionej autorefleksji badaczy na temat statusu ich profesji. Równocześnie jednak wywoływało, też często, błędne przekonanie, jakoby teoria i filozofia literatury miały rangę nieledwie wyższą od samej literatury. (Co niekiedy kwitowano ironicznie, że oto nie trzeba już czytać wcale tekstów literackich, żeby błyskotliwie o nich mówić, wystarczy mieć pod ręką odpowiednią teorię. Było w tym sporo racji).

Stan rzeczy jest obecnie mniej więcej taki, że blisko czterdziestomilionowy naród europejski (nie licząc około dwudziestu milionów osób polskiego pochodzenia mieszkających we wszystkich zakątkach świata), o bogatej kulturze i względnie zasobny, do tego od dziesięcioleci dysponujący armią filologów i neofilologów skupionych w kilkudziesięciu mniejszych i większych ośrodkach badawczych, może w zdecydowanej większości pochwalić się artykułami i książkami co najwyżej przyczynkarskimi lub kompilacyjnymi. Ujęcia monograficzne, dotyczące całych epok literackich, prądów literackich, a zwłaszcza pojedynczych wybitnych autorów, są w odwrocie (i do tego powstały w znacznej mierze jeszcze przed rokiem 1989), podobnie jak rozbudowane ujęcia biograficzne, których tworzenie – to z pewnością dziedzictwo myśli strukturalistycznej, wrogiej wobec najmniejszych choćby śladów biografizmu – uznaje się w naszym kraju dość powszechnie za uwłaczające intelektualnej godności badacza, natomiast w krajach niemiecko-, francusko- a szczególnie anglojęzycznych biografistyka to jedna z najbardziej kwitnących dziedzin humanistyki, hojnie dotowana przez mecenasów nauki i kultury. Dlaczego polscy badacze tak konsekwentnie i masowo unikają ujęć całościowych? Dlaczego wciąż nie doczekaliśmy się zbyt wielu – szczególnie jeśli weźmie się pod uwagę niemałą przecież liczbę badaczy funkcjonujących w polskim przemyśle akademickim – ważkich, autorskich i, co ważne, przeprowadzonych z lotu ptaka odczytań twórczości nie tylko pisarzy zagranicznych, ale nawet naszych własnych, rodzimych – w kontekście i globalnym, i lokalnym? Skąd ten strach przed syntezą, przed

rzuceniem się na głęboką wodę? Pomijając inne czynniki, których omówienie przekraczałoby ramy tego artykułu, bierze się on moim zdaniem w znacznej mierze właśnie z *przeteoretyzowania* badań literackich w Polsce, czyli, paradoksalnie, ze zbyt dużej samoświadomości metodologicznej badaczy⁵. Badacz taki przypomina zawodowego pływaka, który stoi nad brzegiem morza, bez końca sprawdzając temperaturę wody, porównując ją ze średnią temperaturą roczną i wieloletnią, to samo robi z pomiarami wiatru, z zachmurzeniem, zasoleniem, mierzy swoje tętno, sprawdza wytrzymałość kąpielówek, rozmiar okularów, rodzaj tworzywa, z którego zostały wykonane, słowem, robi wszystko, tylko... nie wskakuje do wody, na to bowiem nie starcza już mu sił i czasu.

Jestem zdania, że zbyt rzadko pozwalamy sobie na odważne skoki do morza literatury. Czego nam brakuje, to nie samoświadomości, profesjonalizmu, a nawet pieniędzy na badania – tych, zwłaszcza samoświadomości i profesjonalizmu, mamy w nadmiarze od lat i nie jestem wcale pewien, czy dzięki temu lepiej rozumiemy literaturę – tylko dezynwoltury. I przekonania, że intelektualnie możemy zmierzyć się z największymi wyzwaniem, jakie stawia przed nami literatura, a nie wyłącznie jej teoria czy metodologia⁶. A zatem, że stać nas na dużo więcej zakrojonych na szeroką skalę, autorskich syntez wybitnych twórców literatury polskiej i światowej; że stać nas na wybitną biografistykę; że nie boimy się posądzeń o *publicystykę* czy brak naukowości, kiedy chcemy pisać o literaturze przystępnie, z szacunkiem dla czytelnika, który nie zajmuje się literaturą zawodowo, a chętnie by się czegoś o niej dowiedział, gdyby tylko dano mu do ręki coś innego niż metafizyczne *abrakadabra*, przez badaczy niepotrafiących sprawnie i z wdziękiem posługiwać się językiem polskim nazywane chytrze językiem profesjonalizmu (to Stanisław Brzozowski pisał o stylu zdolnym *zamordować* wszystko...); że potrafimy zdobyć się na lepszą dydaktykę literatury niż obecna, która w większości każe o literaturze przede wszystkim dużo wiedzieć, a chodziłoby raczej o to, by wiedzieć o niej zdecydowanie – to nie przejęzyczenie! – *mniej*, więcej zaś z niej rozumieć;

-
- 5 Problem ten nie dotyczy oczywiście tylko polskich badaczy i ma, w różnym stopniu, charakter globalny. Jest rzeczą znaną, że arcydzieło współczesnej biografistyki, trzytomowa biografia Franza Kafki (2002-2014), pod każdym względem wzorcowa, została napisana przez autora (jest nim Reiner Stach) funkcjonującego od lat poza przemysłem akademickim.
 - 6 Jeśli ktoś zauważy w tym miejscu z przekąsem, że przeciwstawianie sobie teorii i praktyki również w badaniach literackich ma długą historię i że nie piszę w tym miejscu nic nowego, a nawet idę na łatwiznę, odpowiem, z nie mniejszym przekąsem, że najwidoczniej ta długa historia niewiele nas wszystkich nauczyła.

że stać nas na odejście od elitarystycznej wizji literatury i badań literackich i wyjście poza bezpieczne *ciepełko* uniwersytetu, biblioteki i metajęzyka naukowego w kierunku dobrze pojętej (tak cenionej np. w krajach anglosaskich) popularyzacji nauki i literatury – kapitalnym przykładem takich działań jest w naszym kraju krakowski Międzynarodowy Festiwal Literatury im. Josepha Conrada, niezmiennie na wysokim poziomie, a równocześnie wychodzący naprzeciw czytelnikowi nieakademickiemu. Krótko mówiąc, chcemy od siebie czegoś więcej niż tylko powielania schematów, czego tak często domaga się od nas technokratyczny akademicki system nauki i kształcenia. A także niestety zbyt często – my sami.

2.2

Co jeszcze?

Rzeczy w moim przekonaniu najpilniejsze: po pierwsze, należy zdecydowanie szybciej przyzwyczajać się do, niby oczywistej, myśli, że literatura jest wprawdzie pisana w językach konkretnych narodów, ale nie ma narodowości; że może powstawać w rozmaitych kontekstach narodowych, społecznych, politycznych, kulturowych itp., lecz jej jądrem pozostaną uniwersalne ludzkie doświadczenia, wspólne całemu gatunkowi *homo sapiens* pod *każdą* szerokością geograficzną (Grażyna Borkowska pisze, że funkcją literatury jest *odnawianie więzi ze światem*. „To odnawianie może się dokonać właściwie w jeden sposób – przez zaświadczenie, że nie ma absolutnej odrębności, że podstawą ludzkiego świata jest wspólnota egzystencjalnych gestów i zachowań”⁷); że w związku z tym tradycyjny akademicki podział na (neo)filologie narodowe – częściowo uzasadniony być może w wieku XIX, w epoce formowania się państw i kultur narodowych – obecnie kłuje w oczy anachronicznością, a ponadto coraz mocniej odstaje od globalizujących tendencji współczesnego świata. Dlaczego w niewielu polskich uniwersytetach nie można studiować, inaczej niż w wielu krajach zachodnich, po prostu – literatury? Dlaczego prawie zawsze musi to być literatura *w służbie* – takiego czy innego narodu? Dlaczego nie pomyśleć także u nas o literaturze jako *world literature*, czyli jako wspólnocie doświadczeń o zakresie znacznie szerszym niż doświadczenia narodowe? Wymaga to odejścia od wąskonarodowych tradycji akademickiego myślenia o literaturze, a także od technokratycznej wizji literaturoznawstwa jako ściśle wytyczonego (czytaj: łatwiejszego w zarządzaniu) obszaru badań

7 G. Borkowska Vercueil, *jego pies, żona i muzyka świata*, „Teksty Drugie” 2010 nr 1/2, s. 25.

i kształcenia, co nie jest, jak pokazują doświadczenia wielu uniwersytetów w krajach zachodnich, niemożliwe.

Po drugie: ponieważ jestem przekonany, że badania literackie, zarówno w Polsce, jak i za granicą, doszły, globalnie rzecz biorąc, do stanu teoretycznego i metodologicznego przesylenia, warto zastanowić się, jak temu przeciwdziałać. O owym przesyleniu pisał m.in., w perspektywie globalnej właśnie nie kto inny, jak wybitny i wpływowy niemiecko-amerykański badacz literatury i kultury Hans Ulrich Gumbrecht. Twierdzi on wręcz, moim zdaniem głęboko zasadnie, że w badania literackie wkrađło się poczucie letargu i niepewności; że badacze często zupełnie utracili świeżość w obcowaniu z tekstami literatury. Swoim kolegom po fachu Gumbrecht proponuje, powołując się m.in. na twierdzenia Martina Heideggera w *Byciu i czasie*, odejście od lektury zorientowanej przede wszystkim na myśli, pojęcia, idee, pod dyktando określonych metod badawczych. Badanie nastrojów (zarówno indywidualnych, jak i społecznych, historycznych) jest jego zdaniem przyszłością nauk o literaturze, ponieważ to one pozwalają w znacznie większym stopniu uchwycić tekst literacki jako część życia swojej współczesności⁸. To nic innego jak – znów to bardzo prosta rzecz, nie obawiajmy się takich powtarzać, póki postulat nie zamieni się w praktykę – nauka empatii wobec świata i zamieszkującej go wspólnoty ludzkiej. W Polsce pisała o tym przywołana przed chwilą Grażyna Borkowska, na swój niepowtarzalny sposób chciał to także wyrazić Michał Paweł Markowski w artykule *Wrażliwość, interpretacja, literatura*, krytykując model nauki i kształcenia oparty na Kartezjańskim ideale idei i wyraźnych pojęć, a całkowicie niemal lekceważący, jak by powiedział Nietzsche, ów błyskotliwy prekursor *czytania nastrojów*, wyraźne odczucia⁹. Czytać nastroje i nie zadławić się przy tym (a jest takie niebezpieczeństwo, Gumbrecht też je wyraźnie, za Hegłem, dostrzega) *papką serca*, czyli tanim

8 Zob. H.U. Gumbrecht *Czytanie nastrojów. Jak można pomyśleć dziś rzeczywistość literatury*, przeł. A. Żychliński, w: *Teoria – literatura – życie. Praktykowanie teorii w humanistyce współczesnej*, red. A. Legeżyńska, R. Nycz, Wydawnictwo IBL PAN, Warszawa 2012.

9 Zob. M.P. Markowski *Wrażliwość, interpretacja, literatura*, „Teksty Drugie” 2010 nr 1/2. W szczególności s. 104: „Model wykształcenia, który Nietzsche krytykuje, stawia kartezjański ideał ‘wyraźnych pojęć’ [...] przed ‘wyraźnymi uczuciami’ [...]. Dominacja tego modelu kształcenia prowadzi, wedle Nietzschego, do kryzysu podmiotu, który ginie pod nawałem konwencji i pojęć ogólnych i nie potrafi już nic o sobie powiedzieć. Nietzsche jednak mówi wyraźnie, że uczucia powinny dać się kształtować, że powinny być formowane przez wykształcenie. Tym samym nie przeciwstawia sobie uczuć i wrażeń pojęciom, czy też wrażliwości – teorii. Nie jest zwolennikiem ‘czystych’ uczuć, lecz uczuć ‘wyraźnych’, a to oznacza – poddanych refleksji”.

sentymentalizmem, jest znacznie trudniej, niż czytać idee – tymi ostatnimi literaturo-znawcy nauczyli się w XX wieku tak profesjonalnie *zonglować*, że *mucha nie siada*. Może dlatego istnieją pisarze, o których powstają setki artykułów i książek, a mimo to wciąż ma się *wrażenie*, że niewiele powiedziało się o nich rzeczy istotnych i trwałych – ponieważ nie potrafi się prawidłowo odczytywać nastrojów, które stoją za ich dziełami i które znalazły wyraz w ich dziełach, skupiając uwagę przede wszystkim na wyczytywanych z nich na wyścigi ideach i pojęciach?

Last but not least należy bezwzględnie zwrócić uwagę na nurty badawcze, które wprawdzie nie narodziły się i nie rozwijają w obszarze badań literackich, mają jednak coraz więcej do powiedzenia na temat nie tyle może nawet samej literatury, co jak by powiedział Arkadiusz Żychliński, autor książki *Laboratorium antropofikcji. Dociekania filologiczne*, instynktu narracyjnego, którego literatura jest, spośród innych rodzajów ludzkiej aktywności narracyjnej, emanacją¹⁰. Chodzi w szczególności o rozmaite nurty z dziedziny kognitywistyki, lingwistyki kognitywistycznej, filozofii umysłu, psychologii umysłu, psychologii ewolucyjnej czy psychologii narracji, które co najmniej od lat 90. (a niekiedy i dłużej) systematycznie badają i analizują *całopsychocieleśne* warunki brzegowe tworzenia i rozumienia *sensów* (zamiast o całopsychocieleśności George Lakoff, wybitny współczesny lingwista, mówiłby zapewne o „embodied mind” i „embodied cognition”), w tym sensów przekazu literackiego. Pierwszą znaną mi polską publikacją na ten temat jest fascynujący, opublikowany jeszcze w „Tekstach” w roku 1981, artykuł Danuty Danek *O początkach umysłu*. Artykuł ten, jak i sama, omawiana przez Danek dziedzina badań, nie doczekały się później w Polsce większego zainteresowania i właściwie do dnia dzisiejszego polski badacz literatury nie ma, poza kilkoma może wyjątkami (m.in. wspomnianego Żychlińskiego), ochoty sięgać po pasjonujące wyniki dociekań badaczy, których obszar refleksji wydaje mu się nazbyt odległy od jego własnego. Być może nie dowiedziałyby się od nich za wiele o konkretnych twórcach literatury, o epokach literackich, o poetyce, o stylu, recepcji; być może nie udałooby mu się z ich pomocą lepiej zrozumieć tego czy innego autora i jego twórczości. Lecz jestem pewien, że zamiast tego zyskałoby o wiele głębsze zrozumienie samej potrzeby tworzenia i czytania literatury, potrzeby całocieleśnopsychicznej (takiego właśnie, może niezbyt szczęśliwego, określenia używa Danuta Danek), a więc również – co dla większości

¹⁰ Zob. na ten temat: A. Żychliński *Laboratorium antropofikcji. Dociekania filologiczne*, Wydawnictwo IBL PAN, Wydawnictwo Naukowe UAM, Warszawa–Poznań 2015.

osób związanych z literaturą zawodowo i niezawodowo będzie z pewnością niemałym zaskoczeniem – *biologicznej*. Skąd się te potrzeby biorą? Czego są wyrazem? W jaki sposób człowiek je zaspokaja za pomocą m.in. literatury? Oto tylko niektóre pytania, których samo już postawienie – w tym zupełnie nowym kontekście – pozwoli badaczowi literatury zupełnie inaczej spojrzeć na swój fach. O ile, rzecz jasna, zechce wyjść poza swoją dotychczasową *strefę komfortu*.

2.3

Bo o to ostatnie wszystko tak naprawdę się rozbije *w przyszłości*, jeśli literaturo-znawstwo – ma być literaturo-znawstwem *z przyszłością*.

Abstract

Łukasz Musiał

ADAM MICKIEWICZ UNIVERSITY (POZNAŃ)

Literary Studies of/in the Future: Going beyond Our Comfort Zone

In this article, Musiał examines the condition of contemporary literary studies. The first part he discusses the growing influence of experts and the effect this has on research profiles in the field. The second part focuses on the state of literary research in Poland in the context of literary theory, life writing studies, the popularisation of literary studies, the didactics of literature, world literature, the so-called reading of moods, as well as what is known as the psychology of narrative.

Keywords

professionalisation of literary studies, literary theory, life writing studies, popularisation of literary studies, didactics of literature, world literature, studying moods, psychology of narrative